

# Mój ojciec wstępuje do strażaków





BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

## Mój ojciec wstępuje do strażaków

W pierwszych dniach października powracaliśmy z matką z letniska, położonego w sąsiednim departamencie kraju, w lesistym dorzeczu Słotwinki, przesączonym źródlanym szmerem tysiąca strumieni. Mając jeszcze w uszach szelest olszyn przetykany świegotem ptaków, jechaliśmy w wielkiej starej landarze<sup>1</sup>, rozrosłej ogromną budą, jak ciemną rozłożystą gospodą, słoczeni wśród tobołków, w głębokiej, aksamitem wyścielanej alkwie<sup>2</sup>, w którą karta po karcie zapadały przez okno kolorowe obrazy pejzażu, jakby tasowane powoli z ręki do ręki.

Pod wieczór przyjechaliśmy na wywiany wiatrami płaskowyż, na wielkie, zdziwione rozdroże kraju. Niebo stało nad tym rozdrożem głębokie, zatchnione, obracające się w zenicie kolorową różą wiatrów. Tu była najdalsza rogatka kraju, zakręt ostatni, za którym otwierał się w dole rozległy i późny krajobraz jesieni. Tu była granica i tu stał stary, zmurszały słup graniczny z zatartym napisem i grał na wietrze.

Wielkie obręcze landary zazgrzytały i ugrzęzły w piasku, gadające, migotliwe szprychy umilkły, tylko wielka buda dudniła głucho, łopotała ciemno w krzyżowych wiatrach rozdroża jak arka osiadła na pustkowiach.

Matka płaciła myto<sup>3</sup>, żuraw rogatki podniósł się skrzypiąc, potem landara ciężko wjechała w jesień.

Wjechaliśmy w zwiędłą nudę ogromnej równiny, w spłowiałe i blade wianie, które otwierało tu nad żółtą dałą swą błogą i mdłą nieskończoność. Jakaś późna i ogromna wieczność wstawiała z wyblakłych dali i wiała.

Jak w starym romansie obracały się żółtkłe karty krajobrazu coraz bledsze i coraz bezsilniejsze, jakby się miały skończyć jakąś wielką rozwianą pustką. W tej rozwianej nicości, w tej żółtej nirwanie<sup>4</sup> mogliśmy byli zajechać poza czas i rzeczywistość i pozostać już na zawsze w tym krajobrazie, w tym ciepłym jałowym wianiu — nieruchomy dylizans na wielkich kołach, uwieźły wśród obłoków na pergaminie nieba, stara ilustracja, zapomniany drzeworyt w staroświeckim rozsypanym romansie — gdy woźnica ostatkiem sił szarpnął lejce i wyprowadził landarę ze słodkiego letargu tych wiatrów i skręcił w las.

Wjechaliśmy w gęstą i suchą puszystość, w tytoniowe wędnienie. Wnet stało się wokół nas zacisznie i brunatnie jak w skrzynce *Trabucos*. W tym cedrowym półmroku mijały nas pnie drzew suche i wonne, jak cygara. Jechaliśmy, las ciemniał coraz bardziej, pachniał coraz aromatyczniej tabaką, aż w końcu zamknął nas jak w suchym pudle wiolonczeli, którą wiatr głucho stroił. Woźnica nie miał zapalek, nie mógł zaświecić latarni. Konie, sapiąc w ciemności, instynktem znajdowały drogę. Klekot szprych zwolnił i przycichł, obręcze kół jechały miękko w pachnącym igliwiu. Matka zasnęła. Czas upływał nie liczony, tworząc dziwne węzły, abrewiatury<sup>5</sup> w swym upływie. Ciemność była nieprzenikniona, nad budą huczał jeszcze suchy szum lasu, gdy grunt zgrużił się nagle pod kopytami koni w twardy bruk uliczny, wóz skręcił w miejscu i stanął. Stanął tak

<sup>1</sup>landara — ciężka karetka podróżna bądź ogólnie: niezgrabny pojazd. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>alkowa (daw.) — pokój sypialny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>myto — opłata za przejazd bądź za przewóz towarów. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>nirwana — w buddyzmie stan wyzwolenia się z cyklu narodzin i śmierci (reinkarnacji), wyzwalający duszę od cierpienia; przen. nicność, zatracenie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>abrewiatura — skrót, zwł. w dawnym piśmie odręcznym. [przypis edytorski]

blisko ściany, że otarł się o nią prawie. Wprost drzwiczek landary matka zmacała bramę domu. Woźnica wyładowywał tobołki.

Weszliśmy do wielkiej, rozgałęzionej sieni. Było tam ciemno, ciepło i zacisznie jak w starej pustej piekarni nad ranem, po wygaśnięciu pieca, albo jak w łaźni późną nocą, gdy opuszczone wanny i cebry stygną w ciemności, w ciszy odmierzanej kapaniem kropli. Świerszcz wypruwał cierpliwie z ciemności złudne szwy światła, nikły ścieg, od którego nie stawało się jaśniej. Omackiem znaleźliśmy schody.

Gdyśmy osiągnęli skrzypiący podest na zakręcie, rzekła matka: — Zbudź się, Józefie, padasz z nóg, jeszcze tylko kilka stopni. — Ale nieprzytomny z senności, przytuliłem się mocniej do niej i zasnąłem na dobre.

Nigdy potem nie mogłem się od matki dowiedzieć, ile rzeczywistego było w tym, co widziałem owej nocy przez zamknięte powieki, zmorzony ciężkim snem, wciąż zapadając w głuchą niepamięć, a ile było płodem mojej imaginacji.

Była tu jakaś wielka rozprawa między moim ojcem, matką a Adelą, protagonistką<sup>6</sup> tej sceny, rozprawa o zasadniczym znaczeniu, jak dziś się domyślam. Jeżeli na darmo próbuję odgadnąć jej wciąż wymykający się sens, to winę ponoszą tu zapewne luki mej pamięci, ślepe plamy snu, które usiłuję wypełnić domysłem, supozycją<sup>7</sup>, hipotezą. Bezładny i nieprzytomny odpływałem wciąż na nowo w głuchą niewiedzę, podczas gdy na zapadłe powieki zstępował powiew nocy gwiazdzistej, rozpiętej w oknie otwartym. Noc oddychała w czystych pulsach i nagle zrzuciła przejrzystą zasłonę gwiazd, zaglądała z wysoka w mój sen swym starym i wiecznym obliczem. Promień dalekiej gwiazdy uwikłany w moich rzęsach rozlewał się srebrem na ślepym białku oka i przez szczeliny powiek widziałem pokój w świetle świecy zaplątanej w gmatwaninę złotych linii i gzygzaków<sup>8</sup>.

Być może zresztą, że scena ta odbyła się kiedy indziej. Wiele wskazuje na to, że byłem jej świadkiem dopiero znacznie później, gdy wracaliśmy któregoś dnia po zamknięciu sklepu z matką i subiektami<sup>9</sup> do domu.

Na progu mieszkania matka wydała okrzyk zdumienia i zachwytu, subiecki oniemieli olśnieni. Na środku pokoju stał świetny mosiężny rycerz, prawdziwy święty Jerzy wyogromniony kirasem<sup>10</sup>, złotymi puklerzami<sup>11</sup> naramienników, całym dźwięczącym ryszunkiem polerowanych blach złotych. Z podziwem i radością poznałem nastroszone wąsy i zjeżoną brodę mego ojca, sterzącą spod ciężkiego pretoriańskiego<sup>12</sup> hełmu. Pancierz falował na wzburzonej jego piersi, mosiężne pierścienie oddychały szparami jak ciało ogromnego owada. Wyolbrzymiony zbroją w blasku blach złotych podobny był do archistratega zastępów niebieskich.

— Niestety, Adelo — mówił, ojciec — nigdy nie miałaś zrozumienia dla spraw wyższego porządku. Wszędzie i zawsze krzyżowałaś moje poczynania wybuchami bezmyślnej złości. Ale zakuty w zbroję, drwię sobie dziś z twego łaskotania, którym doprowadzałaś bezbronnego do rozpacz. Bezsilna wściekłość ponosi dziś twój język do godnej pożalowania swady<sup>13</sup>, której prostactwo i niewybredność miesza się z tępotą. Wierz mi, że napęlnia mnie ona tylko smutkiem i politowaniem. Pozbawiona szlachetnego polotu fantazji, pałasz nieświadomą zawiścią do wszystkiego, co wznosi się ponad pospolitość.

Adela zmierzyła ojca wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy i zwracając się do matki rzekła wzburzonym głosem, roniąc mimowolne łzy irytacji: — Zabiera cały nasz sok! Wynosi z domu wszystkie butle z sokiem malinowym, który usmażyliśmy razem tego lata! Chce go dać tym nicponiom pompierom<sup>14</sup> do wypicia. I w dodatku obsypuje mnie impertynencjami<sup>15</sup>. — Adela zaszlochała krótko. — Kapitan straży ogniowej, kapitan

Broń

<sup>6</sup>protagonista — główny aktor, przen.: człowiek, którego działanie jest w danej sprawie najważniejsze. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>supozycja — tymczasowe założenie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>subiecki (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>kiras — właśc. kirys, pancierz osłaniający korpus. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>puklerz — rodzaj okrągłej tarczy, tu ogólnie: pancierz. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pretoriański — charakterystyczny dla pretorian, tj. dla straży przybocznej cesarzy rzymskich. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>swada — łatwość i płynność mówienia. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>pompier — strażak obsługujący pompę. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>impertynencja — nieuprzejmość. [przypis edytorski]

urwipolciów — wołała, mierząc ojca nienawistnym spojrzeniem. — Mam ich wszędzie pełno. Rano, gdy chcę zejść po pieczywo, nie mogę otworzyć drzwi. Naturalnie dwóch z nich zasnęło na progu w sieniach i zatarasowało wyjście. Na schodach, na każdym stopniu leży jeden w mosiężnym kasku i śpi. Napraszają się do kuchni, wpychają przez szparę drzwi swe królicze twarze w mosiężnych puszkach, strzygą dwoma palcami jak uczniaki w szkole i skomlą błagalnie: cukru, cukru... Wyrrywają mi z rąk wiaderko i lecą przynieść wodę, tańczą dookoła mnie, mizdrzą się<sup>16</sup>, merdają nieledwie ogonami. Łypią przy tym raz po raz czerwonymi powiekami i oblizują się wstrętnie. Wystarczy, żebym na którego spojrzęła bystro, a zaraz puchnie mu twarz czerwonym bezwstydnym mięsem jak indykowi. I takim dawać nasz sok malinowy!...

— Twoja pospolita natura — rzekł ojciec — plugawi wszystko, czego się dotknie. Nakreśliłaś obraz tych synów ognia godny twego mialkiego umysłu. Co do mnie, to cała moja sympatia należy do tego nieszczęśliwego rodu salamander, do tych biednych wydziedziczonych istot ognistych. Całą winą tego świetnego ongi rodu było, że oddał się w służbę ludzką, że zaprzedał się ludziom za łyżkę nędznej ludzkiej stawy. Odplacono mu za to pogardą. Tępota plebsu jest bezgraniczna. Doprowadzono te delikatne istoty do najgłębszego upadku, do ostatecznego znikczemnienia. Cóż dziwnego, że nie smakuje im wikt<sup>17</sup>, ten mdły i prostacki wikt, gotowany przez tercjanową<sup>18</sup> szkoły miejskiej we wspólnym kotle dla nich i dla aresztantów miejskich? Ich podniebienie, delikatne i genialne podniebienie duchów ognistych, pożąda szlachetnych i ciemnych balsamów, aromatycznych i kolorowych fluidów<sup>19</sup>. Dlatego tej nocy uroczystej, gdy siedziec będziemy odświętnie w wielkiej sali Stauropigii<sup>20</sup> miejskiej przy biało nakrytych stołach, w tej sali o wysokich, jasno oświetlonych oknach rzucających blask swój w głąb nocy jesiennej, a dookoła miasto zaroi się tysiącnymi światłami iluminacji<sup>21</sup>, będzie każdy z nas z pietyzmem i smakoszoństwem właściwym synom ognia maczał bulkę w pucharze soku malinowego i powoli popijał szlachetny ten i gęsty likwor. W ten sposób pokrzepia się wewnętrzna istota strażaka, regeneruje się bogactwo kolorów, które ten lud wyrzuca z siebie w postaci fajerwerków, rakiet i ogni bengalskich. Dusza moja pełna jest zmiłowania nad ich nędzą, nad ich niezawinioną degradacją. Jeżeli przyjąłem z ich rąk szablę kapitańską, to jedynie w nadziei, że uda mi się podnieść z upadku to plemię, wyprowadzić je z poniżenia i rozpiąć nad nim sztandar nowej idei.

— Jesteś cały odmieniony, Jakubie — rzekła matka — jesteś wspaniały. Nie odejdziesz przecież na noc z domu. Nie zapominaj, że od mego powrotu nie mieliśmy sposobności na dobre porozmawiać ze sobą. Co do pompierów zaś — rzekła, zwracając się do Adeli — to w samej rzeczy wydaje mi się, że kierujesz się jakimś uprzedzeniem. Są to mili chłopcy, chociaż nicponie. Patrzą zawsze z przyjemnością na tych wysmukłych młodzieńców w ich zgrabnych mundurach, nieco zanadto ściągniętych w pasie. Mają wiele naturalnej elegancji i wzruszająca jest ich gorliwość i zapał, z jakim gotowi są każdej chwili usłużyć damom. Ile razy wypadnie mi na ulicy parasolka z ręki, rozwiąże się wstążka bucika, zawsze nadbiega któryś z nich pełen przejęcia i żarliwej gotowości. Nie mam serca rozczarować tych gorących chęci i czekam zawsze cierpliwie, aż przybiegnie i usłuży mi, czym zdaje się być bardzo uszczęśliwiony. Gdy oddała się po dokonaniu rycerskiego obowiązku, otacza go natychmiast gromada kolegów omawiająca z nim żywo całe zajście, przy czym bohater odtwarza mimicznie, jak wszystko się odbyło. Na twoim miejscu korzystałabym chętnie z ich galanterii<sup>22</sup>.

— Uważam ich za darmożjadów — rzekł starszy subiekt Teodor. — Przecież nie dopuszczamy ich do gaszenia pożaru dla<sup>23</sup> ich dziecinnej nieodpowiedzialności. Wystarczy zobaczyć z jaką zazdrością przystają zawsze przed grupą chłopców, bawiących się rzucaniem guzików o ścianę, ażeby ocenić dojrzałość ich króliczego umysłu. Gdy dochodzi

<sup>16</sup>mizdrzyć się — przymilać się do kogoś w denerwujący sposób. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>wikt — wyżywienie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>tercjanowa (daw.) — woźna. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>fluid — tajemnicza substancja bądź energia psychiczna. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>stauropigia (z gr.) — użycie niejasne; w Kościele wschodnim klasztor stauopigialny podlegał bezpośrednio patriarsze, z pominięciem innych przełożonych. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>iluminacja — rzęsiste, świąteczne oświetlenie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>galanteria — uprzejme i wyrafinowane zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

z ulicy dziki wrzask zabawy, można prawie na pewno, wyjrzawszy przez okno, ujrzeć wśród gromady chłopców tych dryblasów zaferowanych i zgonionych, nieprzytomnych niemal w rozruchaniu gonitwy. Na widok pożarów szaleją z radości, klaszczą w ręce i tańczą jak dzicy. Nie, do gaszenia niepodobna<sup>24</sup> ich użyć. Używamy do tego kominiarzy i milicjantów miejskich. Pozostają tylko zabawy i święta ludowe, przy których są nieodzowni. Na przykład przy tzw. szturmie na Kapitol o ciemnym świcie, jesienią przebierają się za Kartagińczyków i oblegają z piekielnym hałasem wzgórze Bazyliiańskie. Wszyscy śpiewają wówczas *Hannibal, Hannibal ante portas*<sup>25</sup>.

Przy tym pod koniec jesieni stają się leniwi i ospali, zasypiają stojąc, a gdy pierwszy śnieg spadnie, nie widać ich na lekarstwo. Opowiadał mi pewien stary zdun<sup>26</sup>, że przy naprawianiu kominów znajduje się ich wczepionych w kanał dymnika, nieruchomych jak poczwaraki, w ich szkarłatnych uniformach i lśniących kaskach. Śpią tak stojąc, upici sokiem malinowym, pełni wewnątrz lepkiej słodyczy i ognia. Wyciąga się ich wtedy za uszy i prowadzi do koszar, pijanych snem i nieprzytomnych, przez poranne jesienne ulice, kolorowe od pierwszych przymrozków, podczas gdy gawiedź uliczna rzuca za nimi kamieniami, a oni uśmiechają się swym zawstydzonym uśmiechem pełnym winy i złego sumienia i ślaniają się jak pijani na nogach.

— Jakkolwiek bądź — rzekła Adela — soku im nie dam. Nie po to psułam sobie cerę przy kuchni, smażąc go, ażeby ci nicponie go wypili.

Zamiast odpowiedzi ojciec mój podniósł gwizdawkę do ust i gwizdnął przeraźliwie. Jak gdyby podsłuchiwali u dziurki od klucza, wpadli czterej wysmukli młodzieńcy i uszeregowali się pod ścianą. Pokój rozjaśnił się od blasku ich hełmów, a oni, stanąwszy w wojskowej postawie, ciemni i opaleni pod jasnymi szyszakami, czekali na rozkaz. Na znak ojca dwaj z nich pochwycili z obu stron wielką butlę w plecionce z wikliny, pełną purpurowego płynu, i nim Adela zdołała im przeszkodzić, już zbiegli z tupotem ze schodów, unosząc łup drogocenny. Dwaj pozostali, oddawszy wojskowy ukłon, oddalili się za tamtymi.

Przez chwilę zdawało się, że Adela da się porwać do czynów niepoczytalnych, takie ognie miotają jej piękne oczy. Ale ojciec nie czekał na wybuch jej gniewu. Jednym skokiem znalazł się na parapecie okna i otworzył ramiona. Pobiegliśmy za nim. Rynek zasiany rzęsiste światłami roił się od kolorowych tłumów. Pod naszym domem ośmiu strażaków rozciągało w koło wielkie płótno żaglowe. Ojciec odwrócił się raz jeszcze, zabłysnął całym przepychem rynsztunku, salutując nas w milczeniu, potem z otworzonymi ramionami, jasny jak meteor, skoczył w noc płonąca tysiącem światła. Był to tak piękny widok, że wszyscy w zachwycie klasnęliśmy w dłonie. Nawet Adela, zapominając swej urazy, przyklasnęła temu skokowi, wykonanemu z taką elegancją. Mój ojciec tymczasem zeskoczył elastycznie z prześcieradła i wstrząsnąwszy z chrzęstem blaszane skorupy, stanął na czele oddziału, który, odpadając dwójkami, rozwinął się podczas marszu w długi rząd i oddalał się powoli ciemnym szpalerem tłumy, błyszcząc się mosiężnymi puszkami kasków.

<sup>24</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne a. niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Hannibal, Hannibal ante portas* (łac.) — Hannibal, Hannibal u bram. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*zdun* — rzemieślnik stawiający i naprawiający piece. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-moj-ojciec-wstepuje-do-strazakow>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Koziol.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.